

Maciej Wąs: Belloc, Chesterton i Tolkien – o katolicką kulturę w pluralistycznym świecie

Całe dzieło Tolkiena żywe jest duchem katolickim – lecz duch, stosownie do swej natury, działa od wewnątrz, delikatnie, mocą własnego „przyciągania” treści raczej, niż materialnej perswazji – pisze Maciej Wąs w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tolkien. Władca wyobraźni”.

Ledwie pięćdziesiąt trzy lata po zakończeniu obrad Soboru Watykańskiego II, z entuzjazmem wieszczącego nową wiosnę Kościoła, katolicyzm zdaje się przeżywać kryzys tożsamości, jakiego nie pamięta od wieków. Jaka jest rola Kościoła w społeczeństwie współczesnym? Jakie jest powołanie współczesnych świeckich? Czy może istnieć coś takiego, jak specyficznie „katolicki” sposób funkcjonowania w coraz dynamiczniej sekularyzującym się świecie? Odpowiedzi na te pytania nie dostarczy model Kościoła tryumfującego, panującego, Kościoła Hiszpanii, Irlandii czy Belgii. We wszystkich tych krajach, religia poniosła w poprzednim półwieczu druzgocącą porażkę, dając się zepchnąć właściwie na margines kultury. Nie, wzorców trzeba szukać gdzie indziej – w dziejach Kościołów, które jeśli nie siłą argumentu, to faktu zmuszone zostały nauczyć się funkcjonować w warunkach pluralistycznych: Kościołów Ameryki, Japonii czy – Anglii. Bo to Anglia właśnie, choć przecież protestancka, i przez długi czas nosząca „antypapizm” pod sercem swojej tożsamości, dała światu niezwykle pokolenie katolików, które miało na trwałe zapisać się w historii Europy. Przypadkiem czy nie, wszyscy oni urodzili się w przeciągu tego

ćwierćwiecza, którego początek znaczy rok 1871, gdy ustawa dopuszczająca studentów katolickich na uniwersytety dopełniła długiego i bolesnego procesu emancypacji; i wszyscy oni mieli jedną cechą wspólną – umieli patrzeć na historię i działania swego państwa wielkodusznie, z wdzięcznością starając się wnieść katolicki wkład do kultury otwarcie niekatolickiego narodu. Do takich właśnie należeli Hilaire Belloc, Gilbert Keith Chesterton i John Ronald Reuel Tolkien.

Chesterton największą oryginalność w apologii katolicyzmu ujawniał dokładnie wtedy, gdy jej nie uprawiał; gdy pozwalał „przeświecać” wyznawanym prawdom przez treści osobne, niezwiązane bezpośrednio z problemem religijnym

Cóż to znaczy „wnosić katolicki wkład do kultury niekatolickiego narodu”? Na czym polegała specyfika ich stylu i działania? Mówiąc krótko: na rezygnacji, mniej lub bardziej daleko idącej, z postawy konfrontacyjnej i konfesyjnej. Proces

emancypacji się skończył; czasy Lingarda i Newmana również. Duch katolicki, nareszcie pewny swego położenia, coraz wyraźniej zaczął zwracać się ku sobie, by na nowo odkryć prawdy, które nosił, i wydobyć z nich możliwie najgłębszą treść. Słowo nie miało ujawniać się przede wszystkim zewnątrz, w konsekwentnej apologii i logicznym rozumowaniu, w „głoszeniu” ujętym w najprostszym i najpowszechniejszym sensie – zamiast tego postawiono na „radiację obiektywną”; Słowo miało działać przede wszystkim jako uwewnętrznione; przemawiać przez skutki życia tego, który je przyjął. I w ten sposób, pośrednio, przemieniać otoczenie. Tak też Belloc,

najstarszy z całej trójki, działając przede wszystkim z pozycji historyka-publicyisty, niestrudzenie wykazywał jedność cywilizacji europejskiej od czasów rzymskich, przedstawiając Kościół jako historycznego gwaranta i depozytariusza tej jedności (poświęcił temu chociażby książki *Europa i wiara* czy *Kryzys cywilizacji*, i na niej też opierał znaczną część swoich analiz z zakresu historii ekonomii, tych na przykład, które sformułował w *Państwie niewolniczym*) i tropił katolickie źródła nowoczesnego demokratyzmu, jaki narodził się po 1789 i epoce napoleońskiej (co czynił między innymi w biografiiach Dantona, Robespierre'a, czy monografii na temat wielkiej rewolucji francuskiej).

Chesterton, urodzony cztery lata później, jako dziennikarz i literat, największą oryginalność w apologii katolicyzmu ujawniał dokładnie wtedy, gdy jej nie uprawiał; gdy pozwalał „przeświecać” wyznawanym prawdom przez treści osobne, niezwiązane bezpośrednio z problemem religijnym. Chestertonowska, personalistyczna wizja człowieka i dziejów (*Człowiek wiekuisty*), krytyka społeczna (*Zarys normalności*), analizy polityczne (*Co widziałem w Ameryce*), wreszcie nawet krytyka literacka, ugruntowana metafizycznie i starająca się odsłonić przed czytelnikiem naturę pierwotnego impulsu twórczego (*Chaucer*) – wszystko to tętni wprost od wątków katolickich, które przemawiają do nas tym mocniej, że są nieoczywiste. Nawet *Ortodoksja* nie odnosi się przecież wprost do katolicyzmu, choćby angielskiego, pozostając raczej na poziomie „chrześcijaństwa po prostu”. Najlepsze z katolickiego punktu widzenia fragmenty opowiadań o księdzu Brownie to te, w których główny bohater „po prostu” *działa* jak katolik. Gdy zaczyna mówić, sytuacja często się zmienia; i samo pisarstwo Gilberta pozwala zrozumieć, dlaczego tak konsekwentnie unikał zazwyczaj bezpośredniej propagandy (czy propagacji? zwał jak zwał).

Niemniej, jako się rzekło, nie unikał jej zupełnie, o czym sam zresztą pisał w zbiorze *The Thing*; czuł się w pewien sposób zobowiązany porzucać czasem swą „ulubioną, luźną metodę aluzji” i pisać bardziej wprost. Belloc czynił to już zupełnie otwarcie i nagminnie, osiągając poziom konfesyjności, wobec którego nie trudno dziwić się, że kolegium akademickie na Oksfordzie ostatecznie nie dopuściło go do swojego grona. Autorem doskonale urzeczywistniającym ten sposób działania miał stać się dopiero najmłodszy (co samo w sobie wymowne) z całej trójki: John Ronald Reuel Tolkien, urodzony aż dwadzieścia dwa lata po Belloku. Istotnie, stopień czystości tego podejścia jest u niego po prostu nadzwyczajny. Poniekąd wynikało to z samej natury jego twórczości. Skupienie się na przedmiocie, wierność prawdom, zadbanie o jedność i spójność dzieła – literatura piękna, a zwłaszcza fantastyka, wymaga tego znacznie bardziej, niż publicystyka, czy nawet historiografia; tak krytykowana przez Gilsona idea „czystości sztuki” staje się jednak w tym wypadku warunkiem *sine qua non* – i Tolkien nie mógł, po prostu, bez popadania w absurd włączyć do swego dzieła żadnych wątków „naśladowczych” świat rzeczywisty w sensie materialnym – a cóż dopiero wątki religijne? Każdy taki wkład byłby (mówiąc językiem Maritaina ze *Sztuki i mądrości*) „tezą”, czynnikiem zewnętrznym i obcym, rozrywającym na sztuki integralność dzieła. Ten swoisty „perfekcjonizm” artystyczny często był zresztą przyczyną oskarżenia tego wielkiego pisarza o „dziecinność” czy „eskapizm”. Słusznie? Gdy tenże Maritain pytał, czym jest w sensie ścisłym sztuka chrześcijańska, odpowiadał: przede wszystkim sztuką. Wiara i ideały autora uobecniają się w niej, o ile jest prawdziwa, mocą samej jedności organizmu duchowego, jakim jest człowiek.

Katolicyzm Tolkiena jest dostrzegalny, lecz nie sam w sobie, tylko przez charakter, jaki odciska na całej „architekturze tekstu” ręka piszącego

Katolicyzm Tolkiena jest dostrzegalny, lecz nie sam w sobie, tylko przez charakter, jaki odciska na całej „architekturze tekstu” ręka piszącego. Widać to

jak na dłoni choćby w wypadku subtelnych śladów angelologii tomistycznej, jakie da się odnaleźć w *Silmarillionie* („Wtedy głosy Ainurów na podobieństwo harf i lutni [...] zaczęły kształtować z tematu Iluvatara Wielką Muzykę”), w mnóstwie refleksji etycznych, rozsianych po *Hobbicie* i *Władcy pierścieni*, czy wreszcie w samej wizji życia ludzkiego i działania Opatrzności – zawsze obecnej, dobrej i prowadzącej wszystko do celu, a jednak zawsze ukrytej („Skrywa się za tym jeszcze inna siła, Frodo” – stąd właśnie bierze się zresztą ów rozbrajający strukturalistów fakt, że Sauron nie ma dobrego „odpowiednika”; istotnie, jak bardzo dziwić to musi tych, dla których diabeł jest „przeciwnikiem” Boga). Całe dzieło Tolkiena żywe jest duchem katolickim – lecz duch, stosownie do swej natury, działa od wewnątrz, delikatnie, mocą własnego „przyciągania” treści raczej, niż materialnej perswazji. I to zapewne ze względu na głębokie zrozumienie tego faktu odegrał Tolkien w kulturze Anglii i świata tak ogromną rolę, większą niż jakikolwiek chyba inny współczesny pisarz katolicki, i dzieło jego, za pośrednictwem filmów Jacksona, przedostało się nawet do popkultury. Krótki namysł wystarczy, by odsłonić przed nami doniosłość tego faktu; i choć smutna historia *Hobbity* pokazuje, że nawet Tolkiena można skutecznie sprofanować i wyzuć z sensu,

nadzieja trwa; a przede wszystkim przykład, z którego – jeśli go pojmą – pewien jestem, że korzystać będą całe pokolenia katolików, szukające tego, do czego wzywa ich Sobór – przemiany świata i odnowy Kościoła.

Maciej Wąs